



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

JAN ŁYSAKOWSKI



(Fragment większej całości)

W szafie na dole była wypchana różnymi szpargalami szuflada. Mama zaglądała tam rzadko, mnie jednak bardzo do niej ciągnęło. Gdy wracałem ze szkoły, to ojciec i matka byli jeszcze w pracy. Rzuciłem teczkę na łóżko w kuchni, zaglądałem do kredensu, kawałek chleba do ręki i jazda... O wpół do czwartej trzeba było być z powrotem w domu...

Gdy padał deszcz, to siadałem z książką koło okna. A czasem bawiłem się. W szufladzie leżała kupa zdjęć, takie stare, pozostłe już fotografie. Na niektórych ojciec napisał: wuj Wiesław w 1932 roku, letnisko, Józef z rodziną, Konikowie, ich córka, majówka... Czasem niektórzy specjalnie dobrani, zadomowieni goście byli dopuszczani do ich oglądania. Obok zdjęć leżały listy od bardzo starych poczawszy, przedwojennych, do tych nowych, przychodzących od babci...

„Papiery mnie nie interesowały. Przekładałem je na bok, dalej bowiem były ciekawsze rzeczy: medal, jakaś odznaka, wojskowa czapka. Na samym końcu leżało coś pasiastego, spłaszczonego, może beret, myśka jakaś? Bez gaszka, okrągła, w środku przepołona, brudna, ma wypisany kopiowym ołówkiem numer. Kiedyś skusiło mnie i wyjąłem tę czapkę. Oglądałem ją koło okna, przymierzałem... Śmiałem się, bo jakoś dziwnie wyglądała na mej głowie. Wtedy akurat przyszedł ojciec. Stał chwilę nieruchomo w progu, nawet go nie zauważyłem. Dopiero, gdy się odezwał:

— Położ z powrotem...

Przestraszyłem się. Ojciec patrzył tak jakoś dziwnie, czy jego straciły wyraz, znikły gdzieś iskielki, skierował te oczy na mnie, ale widział jakby coś zupełnie innego. Przestraszyłem się właśnie tego pustego spojrzenia, ojciec stał blisko, a nagle oddalił się, odchodził gdzieś, gdzie ja chyba nigdy nie potrafię dojść... Chciałem bardzo żeby wrócił do mnie, mówiłem coś szybko, jak najszybciej, nie słuchał, może nie mógł słyszeć, podszedł ciężko do stołu, krok miał jakiś niepewny, posuwisty, usiadł, zapalił papierosa. Uciekłem do pokoju, przedko schowałem czapkę do szuflady.

Tego popołudnia ojciec siedział sam w pokoju, dużo palił, bez światła. Mama chodziła z zacierwionymi oczami. Odrabiałem lekcje w kuchni, pochylałem się nisko nad zeszytami, nie chciałem nie widzieć. To tak zawsze, gdy w domu coś się działo. Potem mama poszła do ojca.

— Po co? — słyszałem jej głos przez niedomknięte drzwi — dlaczego to robisz?

— Nie wiem...

— Spal, wyrzuc gdzieś, ofiaruj komu... Po co się dreczysz?

— Nie mogę...

— Nieprawda...

— Ty nie wiesz, nie widziałaś...

— Opowiadałaś, i inni też mówili...

— Nie, tego nie da się opowiedzieć. Trzeba widzieć samemu, przeżyć...

— Ale przecież się zadreczasz... Ciagle męczysz sam siebie na nowo. Po co? Komu to potrzebne?

— Bo w życiu, moja droga, nie się nie przekreśla. Nie, zupełnie nie, rozumiesz? Wszystko w nas zostaje... Każdy gest, każde słowo, każda decyzja... Jest w człowieku zawsze, siedzi w nim, ka-

żesz mi zapomnieć. Co zapomnieć? Samego siebie?

— Tak, takiego jakim byłeś w obozie...

— To jednak mimo wszystko byłem ja...

— Człowiek musi umieć zapomnieć. Inaczej będzie się wiecznie dreczył i nigdy nie znajna spokoju... Pamiętam dokładnie każde słowo, które tam powiedzieli. Może dlatego, że te słowa były dziwne, inne od tych mówionych codziennie: parszywa pogoda, Łoziński kupił motocykl, w sklepie były ładne bluzeczki, wystalam się w kolejce, przynieś węgla, ucz się, jutro kupię nową żarówkę...

— Nie mogą być coraz to innym, zrozum mnie... Życie to nie książka, w której jak zechcesz, to sobie odwrócisz kartkę...

— Ale po co ci takie pamiętki? Po czym?

— Po sobie... Żebym pamiętał...

— Inni też tam byli i żyją inaczej...

— To znaczy jak?

— Normalnie...

— Pamiętałem, że nigdy już nikt z nas nie będzie miał tego „normalnie”... Nie może mieć... Trudno, zawsze się płaci całą wyznaczoną cenę...

Balem się potem tej szafy jakby tam siedział jakiś duch, nie zaglądałem już do niej... Wystarczyło mi, że matka pokijała głową i oczami pokazała na ojca. Wtedy właśnie, gdy siedział sam w ciemnym pokoju...

Ojciec miał silne, dobre ręce. Brał mnie na kolana, ciągał na sankach, prowadził na spacer. Te ręce umiały robić wspaniałe zabawki, umiały przewracać mnie dla żartu na łóżko, podrzucać pod sufit. Umiały podtrzymywać, gdy wspinałem się na pagórki ojcowych kolan, gdy siadałem na nie i wtedy odbywała się wspaniała jazda w nieznaną... Życie w naszym domu miało jakby dwie strony: jasną i ciemną... Jasna to te zabawy z ojcem, koledzy czekający pod oknem, bieganie z nimi, to kwiaty w doniczkach przewieszonych słońcem, mama znajdujaca zawsze sposób i radę na wszelkie kłopoty, choinka świąteczna, jakieś cukierki czy nawet czekoladki wspólne spacer...

...A ciemna... Najpierw to jej nie mogłem zrozumieć. Nie wiedziałem na przykład dlaczego w szafce jest pełno lekarstw, dlaczego mama poplakuje po kątach, ojciec chodzi do lekarza tyłka jakiegoś pastylki, pije krople o nieprzyjemnym zapachu. To mi się zawsze, nie wiem dlaczego, kojarzyło z tranem. Uważałem go za szczyt nieszczęść... Żalowałem szerze ojca, że musi to wszystko znosić...

...Ojciec miał porażony system nerwowy. To wiadomo z czasów znacznie późniejszych. Lekarze nie znajdowali skutecznych sposobów leczenia Choroba tkwiła w samej świadomości człowieka, w jego pamięci. I nie było sposobu, żeby ją stamtąd skutecznie usunąć...

...Ojciec nosił swą ciężką chorobę w sobie. Nie mógł, a może nawet nie chciał z nią walczyć. Właśnie. Trudno mi znaleźć prawdziwą odpowiedź. Trudno mi było wtedy, gdy chory, bardzo chory ojciec opowiadał mi o wojnie, o życiu, w ogóle o wszystkim i trudno teraz, gdy po latach szukam rozwiązania zagadki...

...Poczawszy od piątej klasy ojciec chorował już na poważnie. Zaczęło się od tego, że osłabł, chodził z trudem, więcej leżał, go-

raczkował. Do domu przychodzili lekarze, siadałem wtedy w kacie i obserwowałem ich. Ojciec brał lekarstwa, niewiele to jednak pomagało. Dyskutował o czymś tam z mamą, ona go przekonywała, on się z nią nie zgadzał. W takich przypadkach musiałem przebywać w kuchni. Uczyłem się, odrabiałem lekcje, ale nie z tego nie zostawało w głowie. Patrzyłem w książkę, z pokoju dochodziły głosy. Wreszcie mama zwyciężyła. Któregoś dnia pod dom zajechała sanitarka. Ojciec ubrał się wziął do ręki teczkę i podtrzymywany przez mamę zszedł na dół. Wtedy padło już głośno, otwarcie: szpital... Miał pobyt trochę w szpitalu, w domu nie mieliśmy przecież warunków na dobre leczenie...

...Tak się zaczęło i szło przez parę lat. Po szpitalu było sanatorium, ojciec wrócił do pracy dopiero jesienią, czuł się lepiej, dom od razu poweselał, po świętach jednak się pogorszyło. Zaraz więc szpital, choroba w domu, sanatorium, znów dom...

...Czytałem książki i marzyłem o podróżach. W domu było źle... Żalowałem ojca, schudł bardzo, miał jakieś dziwne, głęboko zapadnięte oczy, zaostrowany nos... Chodził, jeżeli w ogóle mógł się poruszać, mocno zgarbiony, szurający nogami... Właściwie, to ani ojciec, ani tym bardziej mama nie wiedzieli nigdy dokładnie co to za choroba. Z lekarskich, fachowych rozmów nie nie mogłem pojąć...

...Teraz mama miała bardzo dużo pracy. Po przyjeździe z biura opiekowała się ojcem, siedziała przy nim, wypytywała o zdrowie i samopoczucie, o zażyte lekarstwa, opowiadała mu o różnych sprawach. Ojciec chciał, by mama zawsze była przy nim. Ja chodziłem więc po zakupy, wystawałem w kolejkach, do mnie należało przyniesienie wody i węgla, wysypywanie śmieci, wycieranie naczyń, drobniejsze sprzątanie i mnóstwo innych domowych

obowiązków... Szybko więc starałem się odrobić lekcje i brałem się za robotę...

W domu teraz stałe brakowało pieniędzy, coraz rzadziej widywałem słodycze. Nawet na święta dostawałem tylko małeńka czekoladkę. O książkach nie mogło być

o fabryce i jej sprawach. To był ich świat, ich pojęcia i dążenia. Niedbale palili papierosy, czasem składali się na wino, czuli się niemal dorosłymi...

...Chciałem mieć już swoje miejsce, chciałem zarobić trochę pieniędzy, wejść w to inne, ciekaw-



Rys. J. SIENKIEWICZ

mowy. To wszystko teraz zlewa się w jeden obraz... Trzy, nie, brwie cztery lata choroby, bieda, małyne siwe włosy, moja ciągła gonitwa za różnymi sprawami. Wieczorem utykałem nosem w książkę, zaczęły się więc kłopoty w szkole... Nie wiedziałem wtedy, zupełnie nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć...

...O szkołę to była wielka wojna. Ja chciałem koniecznie iść do zawodówki przy fabryce obrabiarerek. Chłopcy tam uczyli się i pracowali. Mieli za to parę złotych na swoje wydatki. Odróżniali się od innych pewnością siebie, koleżeństwem, opowiadali chętnie

życie. Wyzwolić się z zakłętogo kręgu domowej krzątaniny i domowych kłopotów...

Mama powiedziała jednak, że pójdę do liceum. Stamtąd mam zawsze owartą drogę dalej... Do egzaminu wstępnego poszedłem z przekonaniem, że to wszystko na próżno, bez najmniejszego sensu. Byłem przecież słaby z matematyki. Obieję więc i już... Zdziwiłem się bardzo, gdy zdałem. Jednak naszo mnie wtedy jakieś osłnienie, czy co...

Ciąg dalszy na str. 2

Z BILANSÓW 25-LECIA SZKOŁY DOROSŁYCH

W latach 1944—1945 powstawały spontanicznie — bez zarządzeń władz — kursy i szkoły średnie dla pracujących. Wybitny znawca tego zagadnienia, Falski, podaje, że już w roku 1944/1945 uczniowie tych szkół liczyli 17 565 a w roku 1945/1946 istniało już 215 szkół o łącznej liczbie 34 545 uczniów i 6 000 absolwentów.

Okólnik Ministerstwa Oświaty z 13 grudnia 1944 roku omawiający to zagadnienie, zaleca udzielanie pomocy w formie właściwych pomieszczeń, pomocy naukowych, troskliwą opiekę ze strony nadzoru pedagogicznego. Trafnie też ujmuje specyfikę dydaktyki szkoły dla pracujących: „...Oszczędność w czasie należy wyrównać przez wzmoczenie intensywności pracy nauczyciela nad przygotowaniem lekcji, organizowaniem pomocy dla uczących się, z drugiej strony — przez intensywny udział w lekcjach i samodzielnią pracę ucznia”

Korespondencyjne szkoły dla pracujących — państwowe — powstały nieco później, bo dopiero w 1950 roku. Ale już w 1945 roku organizacje młodzieżowe, szczególnie Związek Młodzieży Wiejskiej „WICP”, organizują naukę korespondencyjną w całym kraju w zakresie szkoły średniej. Twórczy to był okres

dla tych szkół: kształtowano właściwy dla nich program, opracowywano i wydawano skrypty; całością spraw kierowano z ówczesnej siedziby centralnych władz — z Łodzi.

Szkoły średnie dla pracujących w roku 1949/50 liczyły aż 52 proc. robotników i 26 proc. chłopów. Odłą jednak klasowy skład uczniów szkoły średniej pogarsza się: maleje liczba robotników i chłopów, rośnie liczba słuchaczy pochodzenia inteligentckiego.

Ogólna liczba absolwentów średnich szkół ogólnokształcących dla pracujących w całym 25-leciu sięga liczby ok. 250 000, w tym do 50 000 absolwentów liceów korespondencyjnych. Wielki to jest wkład tych szkół do gospodarki i kultury narodowej, wielki dorobek liczbowy.

Ale w niektórych sprawach szkoły te znajdują się jakby w sytuacji 1944 roku... Oto po okresie oddzielnego programu i przejściu od 1950 roku na program wspólny ze szkołami młodzieżowymi — podobnie jak w latach 1944—1945 — rozważa się, czy program szkół dla pracujących ma być odmienny, czy ma być kopią programu młodzieżowego. Wśród nauczycieli, działaczy oświatowych tego typu szkół i naukowców zajmujących się tym zagadnieniem, zdecydowanie prze-

waża opinią, że szkoły dla pracujących winny mieć program oddzielny, własny. Ale powszechności żądań oddzielnego programu nie zawsze odpowiada argumentacja. Mówi się głównie, że osiągnięcia szkół młodzieżowych i szkół dla pracujących powinny być podobne, ale droga do tego celu powinna prowadzić poprzez oddzielne programy i podręczniki bardziej dostosowane do psychiki człowieka dorosłego i do struktury jego szkoły.

Licea korespondencyjne mają oddzielne podręczniki dla czterech przedmiotów (matematyka, fizyka, chemia i rosyjski) i komentarze do podręczników młodzieżowych z języka polskiego i biologii. Podręczniki te przyjęły się dość powszechnie w szkołach dla pracujących, zarządzenie władz wprowadziło jednak młodzieżowe. I znów — rozważania, postulaty, że w ślad za oddzielnymi programami winny iść i oddzielne podręczniki.

Dziś słuchacze szkół dla pracujących uczą się z podręczników różnych — częściowo korespondencyjnych, częściowo młodzieżowych, a czasem, dla zatkania luk w zaopatrzeniu, jeszcze z innych.

Na czterdziecie istnieje duża mozaika, form organizacyjnych

Ciąg dalszy na str. 2

OJCIEC

(Ciąg dalszy ze str. 1)

...W ósmej klasie zostałem na drugi rok. Wtedy właśnie ojcu pogorszyło się. Mama brała godziny nadliczbowe, chciała więcej zarobić. Miałem więc więcej zajęć, brałem się nawet za gotowanie. O lekcje nikt mnie w domu nie pytał. No i w rezultacie zostałem...

Gdy rozdawali świadectwa, to czekałem do samego końca. Wstydziłem się. Koledzy pokpiwali sobie ze mnie, zresztą nie tylko ja byłem obiektem żarcików. Było nas dwóch. Do domu wracałem z ponurą miną i ciężarem na duszy. Wtedy myślałem, że chyba jestem na dnie. Gorzej już być nie może... Spadły na mnie wszystkie możliwe klęski... Nie widziałem wyjścia...

Mama pojechała na wieś do babci. Miała wrócić dopiero za trzy dni. To był jej jedyny urlop w ciągu ostatnich paru lat. Do tej pory odpoczynkiem była tylko praca w domu. Ot tak, dzień, dwa, w miarę potrzeby... Zostaliśmy więc sami...

...Ojciec przeczytał moje świadectwo, nie powiedział przy tym ani słowa. To było nawet gorsze niż bicie. Kiedyś, gdy byłem mniejszy, to mama mnie czasem uderzyła. Przeważnie za to, że nie wracałem na czas do domu. A większe lanie wypadło mi tylko za wybicie szyby u pani Stańczykowej...

Krzatałem się po domu, ojciec leżał w łóżku i patrzył w sufit. Nadal nie mówił ani słowa. Traściłem coraz bardziej humor. To u partię, dziwne milczenie przynęcało mnie niczym kamień. Czulem jakąś duszność, chciałem uciec gdzieś, gdzie bądź, wszystko jedno, byle tylko z domu. Chciałem i nie mogłem... Buntowałem się... Wtedy, właśnie wtedy, tego popołudnia naszły mnie po raz pierwszy i chyba ostatni, dziwne, złe myśli...

...Ojciec umrze... Tam, w pokoju na łóżku leży przecież tylko strzęp człowieka. Jego czas dopełnił się, mija już, a ja chcę żyć. Za oknem słońce, wszyscy coś tam robią, zajmują się swoimi sprawami, mają swobodę ruchów i swobodę myśli... Dlaczego ja mam być przykuty do tego czworoczęstego strzępa? Dlaczego właśnie ja mam być niewolnikiem choroby? ...Chory człowiek nie jest w stanie nic zrozumieć. Nie widzi

wielu rzeczy, nie, on nie chce wiedzieć, że zrobił sobie ze mnie niewolnika. Na pewno gryzie go żal, że zrobił o moje zdrowie, o słońce za oknem i nawet o to świadectwo. Nigdy już przecież nie będzie miał żadnego własnego świadectwa...

— Chodź do mnie — usłyszałem nagle głos ojca.

Byłem już pełen buntu i goryczy, ale usłuchałem. To mi weszło w nawyk: iść na każde wołanie chorego człowieka.

— Ja już niedługo umrę — powiedział cicho ojciec. Milczał chwilę. Chyba zobaczył moją zaskoczoną minę, bo dodał — to wiem na pewno... Ale ja mówię tylko tobie... Mamusia nie może się nic dowiedzieć... Możesz mi to przyrzec?

— Mogę...
— To dobrze — westchnął ojciec.

Nie mówił mi tego wszystkiego na pokaz, na efekt. Czasem mam wrażenie, że wtedy odgadywał moje myśli. A jeżeli naprawdę odgadł? Chyba jednak nie. Leżał wtedy wsluchany w to, co się z nim działo, myślał chyba tylko o sprawach najważniejszych.

— Jesteś mężczyzną — ojciec mówił to cicho, musiałem się przysunąć do łóżka — chcę, abys mnie dobrze rozumiał...

Przerywał, zastanawiał się, odychał ciężko. Siedziałem tuż przy ojcu, dobrze widziałem jego zapadnięte policzki, nie ogoloną brodę, zmęczone, chore oczy... Słuchałem...

— Musisz zrozumieć — głos ojca słabł, nawet czasem przechodził w szept — może jeszcze na to za wcześnie, ale ja nie mam innego wyjścia...

Powoli, z przerwami opowiadał mi to, co czuł i co robił. Przygotowywał mnie na trudne życie. Wtedy chyba uświadamiał sobie, że wiem jeszcze tak mało. Chciał to nadrobić. Wtedy, w ciągu tych 3 dni nieobecności mamy. A może właśnie czekał na taką okazję, długo czekał?

...Wtedy słuchałem opowieści mego ojca, chciałem zrozumieć. Nie wszystko było mi jasne. Dopiero przyszło to później... „Dlatego, że czulem wstyd” za moje niedawne myśli, że czulem litość dla tego cierpiącego człowieka postanowiłem wtedy wziąć się w garść...

Czyżby zabytek najstarszego pisma w Europie?

W pobliżu miejscowości Karanowo w Bułgarii archeolodzy odnaleźli okrągłą płytkę glinianą grubości ok. 2 cm z rączką o stożkowatym kształcie. Płytkę przypomina współczesną pieczęć. Powierzchnia jej podzielona jest na cztery części: u góry z prawej strony widnieje głowa zwierzęcia, podobnego do psa, pod nią znajduje się falista linia i stylizowana plaskorzeźba ptaka. U dołu — znak, podobny do litery „M” i trzy inne znaki. Płytkę została znaleziona w warstwie kulturowej, datowanej na pogranicze czwartego tysiąclecia przed n.e.

Według hipotezy prof. W. Georgijewa jest to najstarszy ze wszystkich znalezionych w Europie zabytków piśmiennictwa. Znaki na płytce przypominają zarówno piktogramy egejsko-kreteńskie, jak też pismo hetyckie. Badania tajemniczej płytki trwają.

Z bilansu 25-lecia

(Ciąg dalszy ze str. 1)

szkoły średniej. Dominują oczywiście szkoły stacjonarne, ale poważną rolę spełniają i korespondencyjne. Te dwa typy nauki prowadzą systemem klasowym i przedmiotowym, a niektóre z nich — z sugestii władz — przygotowują kandydatów do państwowego egzaminu eksternistycznego; w części szkół stacjonarnych działają już klasy I i II liczące na podbudowie 8-klasowej szkoły podstawowej, w nadchodzącym roku organizować je będą również i niektóre licea korespondencyjne. Podejmują te szkoły również organizację 3-letniej nauki dla absolwentów zasadniczych szkół zawodowych. Różnorodność form organizacyjnych jest faktem pozytywnym; do niedawna przy szkołach średnich istniały końcowe klasy szkół podstawowych — chyba nie

z pożytkiem dla sprawy zostały te klasy zlikwidowane...

W najbliższych latach zwiększy się liczba klas w 4-letnim liceum, a zmniejszać będzie liczba klas 11-latk. Coraz liczniejsze będą klasy na podbudowie zasadniczej szkoły dla pracujących i zespoły eksternistycznych egzaminów. Z każdym rokiem rośnie również waga szkół korespondencyjnych, zwiększa się liczba ich uczniów i absolwentów, przy niezmiennym liczbie szkół.

Szkoła dla pracujących jest tańsza od szkoły młodzieżowej. Z faktu tego należy wyciągnąć tylko ten wniosek, by możliwie wszyscy kandydaci do szkoły średniej znaleźli w niej miejsce. W ostatnich bowiem latach napływ kandydatów znacznie przekraczał możliwości przyjęcia.

TADEUSZ NAWROCKI

Przegląd dorobku powiatów

Dla uczczenia 25-lecia PRL i 25-lecia powstania województwa rzeszowskiego zorganizowano wielki przegląd dorobku gospodarczego i kulturalnego wszystkich powiatów i miast wydzielonych Rzeszowszczyzny pod protektorem członka Biura Politycznego KC PZPR i sekretarza KW Władysława Kruczka. Powiaty będą ukazywać swoje osiągnięcia w Rzeszowie poprzez występy zespołów artystycznych, wystawy, prelekcje, odczyty i spotkania. W ciągu miesiąca prezentować się będzie dwa do trzech powiatów. Przewiduje się, iż na prezentację taką złoży się koncert galowy poprzedzony wystąpieniem przewodniczących prezydium PRN i wystawa ukazująca stan gospodarczy powiatów, a jako imprezy towarzyszące, które trwać będą przez kilka dni, będą organizowane wystawy twórczości ludowej, występy zespołów teatralnych, wokalnych, kapel itp. Całością wszystkich imprez festiwalu

kieruje Komitet Organizacyjny w składzie: kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN — Władysław Czajewski, sekretarz FJN — Jan Duda, kier. wydz. kult. Prez. MRN — Józef Kwiatek, sekretarz WKZZ — Rajmund Lewicki, kier. Klubu MPiK w Rzeszowie — Aleksander Międlar, nac. red. „Nowin Rzeszowskich” — Henryk Paślowski, dyr. WDK — Czesław Świętoniowski i red. nac. Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie — Zygmunt Wójciewicz.

Przegląd już się rozpoczął. W dniu 26 bm. odbyło się w Klubie „Turkus” w WDK spotkanie z aktywem kulturalno-oświatowym Brzozowa na temat walorów turystyczno-krajoznawczych pow. brzozowskiego, a w dniu dzisiejszym odbędzie się koncert reprezentacyjny i o godz. 18 zostanie otwarta w Klubie MPiK wystawa sztuki ludowej tego regionu.
J. G.

W Budziszynie wśród Serbołużyczan (III)

Może zaprosić do Rzeszowa?

Zanim nieoceniony tow. Ben Budar*) skontaktował mnie z dyrektorką Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Łużyckiego, miałem możliwość uczestniczenia w spektaklu przygotowanym przez zespół teatralny, jaki rozwija się przy wydawnictwie Domowiny.

Wystawiano właśnie sztukę Alberta Wawrika pt. „Zalbowarscy”. Autor na co dzień pracuje w wydawnictwie, jest tzw. adiustatorem, czyli „poprawiaczem” cudzych tekstów. Ta praca najwiśniewiej nie sprawia mu pełnego zadowolenia. Woli tłumaczyć z angielskiego i francuskiego. Ale teraz postanowił sprawdzić się jako komediopisarz.

„Zalbowarscy” mają na celu krytykę zabobonów. Akcja toczy się warko; aktorzy, będący przecież amatorami, starają się wypaść jak najlepiej. Widownia nie szczędzi oklasków, później rozlegają się okrzyki: „Autor, autor”. Albert Wawrik kłania się publiczności, otrzymuje wiązanki kwiatów.

W zrozumieniu tekstu sztuki dużo mi pomógł Anton Nauka, o którym wspominałem w poprzednim odcinku. Od niego też dowiedziałem się, że zespół często wyjeżdża w teren, gdzie ma wielu entuzjastów. Z polskich sztuk wystawił kiedyś „Moralność pani Dulskiej” w tłumaczeniu mego rozmówcy, a teraz ma zamiar przygotować „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego.

O ile działalność tego zespołu ma charakter raczej lokalny, o tyle Państwowy Zespół Pieśni i Tańca Łużyckiego pomnaża już ogólny dorobek kulturalny całej NRD.

Tow. Handrij Cyż, dyrektor lużyckiego „Mazowsza”, przyjął mnie bardzo gościnnie. Zresztą serdeczność obserwowałem w Budziszynie na każdym kroku. Nie za często odwiedzają to miasto polscy dziennikarze, a gospodarze — i słusznie — uważają, że mają się czym pochwalić.

Zespół istnieje już lat siedemnaście, jest więc zaledwie trzy lata młodszy od Republiki. Liczy 150 osób, są w nim Serbołużyczanie, Czesi, Słowacy, Niemcy, a nawet Polacy. Ci ostatni pracują na kontrakcie po dwa, trzy lata. Nie ma żadnych antagonizmów narodowościowych.

Repertuar jest bardzo urozmaicony. Oczywiście pieśni lużyckie, oczywiście niemieckie, ale także czeskie, słowackie i wreszcie polskie. Jakże polskie? Tu sensacja: Z OKOLIC RZESZOWA!

Drogi „Widnokregu”! Masz wielkie pole do popisu. Namów miejscowe władze kulturalne, aby zaprosiły gości z Budziszyna do Rzeszowa. Sądzę, że można by się w tej sprawie doga-

dać, chociaż zespół wcale nie może narzekać na brak pracy!

Gdzie już występował? Na Węgrzech, w Wielkiej Brytanii, Jugosławii, ZSRR, Czechosłowacji, Albanii. Oczywiście i w Polsce — na Światowym Festiwalu Młodzieży w 1954 r. i na Ziemniach Zachodnich w 1963 r. Ponieważ na naszej ziemi zawsze spotykał się z ciepłym przyjęciem, sądzę, że chętnie jeszcze Polskę odwiedzi.

Szczególnie interesowali mnie artyści polscy, którzy związali się z zespołem. Jest ich tu czterech: Tadeusz Szafraniec, Czesław Sobek, Janusz Kawka i Michał Półtorak. Wszyscy w przedniu pracowali w zespole „Śląsk” bądź w Operze Wrocławskiej. Staralem się dowiedzieć, co ich skłoniło do podpisania kontraktu. Nie otrzymałem jednoznacznej odpowiedzi. Zapewne warunki finansowe mają tu nieco lepsze niż w Polsce (wiadomo, goście). Ale chyba nie to stanowiło czynnik decydujący. Może więc chęć przygody? Poznania życia bratniego kraju? Poglębiania znajomości innych języków (serbołużyckiego, niemieckiego)? Wszyscy nie czują się w Budziszynie obco. Wpływa na to miejscowy klimat, stosunki w zespole, no a przede wszystkim bliskość Wrocławia czy Katowic, miast, które stosunkowo często odwiedzają.

Ala pracy, jak powiedziałem, nie brakuje. Dyrektor Cyż ma za złe naszym zespołom — „Mazowszu” i „Śląskowi”, że zbyt mało występują na terenie Polski. „Wasze czołowe zespoły — mówił — pracują głównie „na eksport”. My natomiast pierwotnie traktujemy nasze występy w NRD. O, właśnie je-

dziemy na północ, do Neubrandenburga. Później odwiedzimy ponownie Jugosławię, skąd otrzymaliśmy zaproszenie”.

(Tak mimochodem: zastanawiałem się, czy istnieje duże podobieństwo między językiem serbołużyckim, a językiem serbochorwackim. Kiedyś pokazałem dziennikarzowi z Jugosławii egzemplarz „Nowej Doby”, ukazującej się w Budziszynie. Nie wiele więcej rozumiał niż ja. Przepaść języka więc istnieje).

Szafraniec, Sobek, Kawka i Półtorak nie są jedynymi Polakami, którzy występują na ziemi lużyckiej. W Budziszynie spotkałem również Danutę Pażukówną, śpiewaczkę Opery Wrocławskiej, którą zaangażowano do Niemiecko-Serbskiego Teatru Ludowego. Przygotowywała się właśnie do partii „Violletty” w „Traviacie”. Teatr ma repertuar bardzo wszechstronny. Opery, operetki, sztuki teatralne. Jakoś udaje mu się wszystko pogodzić i na brak frekwencji nie narzeka.

O Budziszynie można nieskończenie. Ciągłe wydaje mi się, że za mało znamy ten dzielny naród serbołużycki, nasi dziennikarze zbyt rzadko odwiedzają ten rejon NRD, a przecież tylko drogą wzajemnych kontaktów możemy lepiej poznać się wzajemnie. Szczególnie ta uwaga odnosi się do nas, mieszkających we wschodniej Polsce. Odległość nie ma w dzisiejszych czasach większego znaczenia. Zulaszcza wówczas, gdy łatwo i dobrze można się porozumieć. I znaleźć przyjaciół.

MAREK ADAM JAWORSKI

*) Kierownik działu naukowego Wydawnictwa Domowina. Patrz poprzedni odcinek.



Krystyna Świerczewska

PIERWSZE — NIE WEGETUJ!

Jest w tej sztuce zaduma i mądrość; nie ma nachalności. Jest człowiek współczesny; nerwowo, zmęczony, niewydarzony, gdzieś tam po drodze gubiący uczucia i wiarę w sens swego życia, a przecież rozpaczliwie tego sensu poszukujący. I jest oryginalna pointa o odpoczywaniu w biegu, trochę z żerom-szczynny wyrosła oraz własnego, autorskiego przeświadczenia, że w zdwojonym działaniu kryje się ocalenie człowieka.

Receptą na przemęczenie ów odpocznik w biegu nie jest najlepsza. Mam na myśli naturalnie to zwykłe fizyczne przemęczenie, narzucone cywilizacją, tempem rozwoju kraju; receptą na przemęczenie, psychiczne, załamania, prostracje, ośpienie, na wszelkie wyobrażenia o jałowości życia, o niakości celów — może być najwspanialszą. Jeśliś kłapnięty — działaj; jeśliś zagubiony — odnajdź swoje miejsce w działaniu, jeśliś wyobcowany — przełam się, przeciw sobie nawet — próbuj włączyć swoją osobowość w zbiorowy pęd — a zawsze coś z tego wyjdzie pozytywnego i twórczego. W tym miejscu Marian Łohutko, autor debiutujący na scenie wyróżnioną w tegorocznym konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki i Teatru „Ateneum” sztuką „Odpoczniesz w biegu” daje swoją własną odpowiedź na wielkie, dręczące pytanie człowieka współczesnego o cel życia.

Sztuka jest komedią o nader tradycyjnie związanej ekspozycji, o świetnie zarysowanych charakterach, o sporym ładunku komizmu sytuacyjnego; ale jednocześnie jest w tej komedii zamknięty cały dramat postaw ludzkich, drzemią głęboko ukryte echa satyry na bieg życia jałowy, na bezmyślne podążanie za uciekającym czasem, na rozmienianie ideałów dzieciństwa. Wszystko to zaś czyni autor w imię poszukiwań tego czasu straconego, w obawie przed całkowitym przeminięciem człowieka, po którym zostanie tylko puste miejsce. Jest to więc komedia mądra, trochę gorzka, z wyraźnymi akcentami smutku, ewokująca refleksje obustronne: tak u aktora, jak i u widza. Bo niekoniecznie widz musi się zgodzić z autorem i jego ambicjami pokazania rodziny nie nabyt wydarzonej jako portretu zbiorowości polskiej; nie godząc się jednak na tę uogólnioną przenośność — niemal równocześnie przynajmniej, że portret powstał z drapieżnego podglądania modela i prawdy psychologicznej w nim dostatecznie dużo.

„Odpoczniesz w biegu” jest polską prapremierą; wystawił tę prapremierę Teatr im. W. Siemaskowej na otwarcie sezonu i wystawił kulturalnie, bez zgrzytów, czysto. Sądzę, że nie będą daleka prawdy, jeśli powiem, że jest to pierwsze od miesięcy całych przedstawienie, gdzie harmonijna praca kameralnego zespołu w jakimś stopniu określa możliwości repertuarowe tego teatru, przekreślając tym samym wszelkie balanse pomiędzy „Hamletem” a „Jadzią wdową”. Dostaliśmy sztukę o nas, w której i reżyser, i aktorzy czują się dobrze, wiedzą jak krajać materię, by wyszła szata nie odświętnie napuszona bądź sztychem zdobiona, która nas albo ziębi albo grzeje — lecz ubranie na każdą porę roku, bez którego nie sposób poruszać się w świecie.

Reżyseria Stanisława Bielińskiego poszła w kierunku pogłębienia rysunku psychologicznego postaci; ich zróżnicowania. Sam grając jednego z synów, ustawiał swego Łukasza na antypodach obojętności wobec społeczeństwa; tak, by fircykowaty Adam Józefa Jachowicza czy miękki, ciągle

nieukształtowany Filip Bogdana Kiziukiewicza jeszcze silniej podkreślił ów końcowy zryw do odpoczynku w biegu. Nie zawsze jednak wydobywał się ten kontrast; rozmowy we dwójkę Łukasza z Filipem, ich wspólne rozczarowania, wspólny bagaż codziennych zmagania z samymi sobą, jaki zaczynają rozpakowywać po latach w ojcowskim domu czyni momentami z Łukasza człowieka o wiele bardziej zniechęconego od reszty. Bo on już poznał smak działania; Filip odkąd siebie pamięta, wegetuje zaledwie. Śmierć ojca nie przerwie zapewne tej wegetacji; Łukasz zaś nie podzielił się swoją „eureka” — wróci do życia, w którym nie ma miejsca na zmęczenia psychiczne. Bieliński gra zbyt dobrze owo fizyczno-duchowe zmęczenie, zanadto ulega Kiziukiewiczowi, staje się niebezpiecznie podatny na jego miękkość, która jest po prostu nieprzystosowaniem, zanadto go rozumie, by to nie było dla widza zbyt wielkim szokiem, kiedy w ostatnim zdaniu nagłe strząsnie z siebie mazgajstwo i ruszy odpoczywać w biegu. Słowem — to przerysowanie nastroju dezorientuje nieco widza przygotowanego na krzyk, temperament, twardego mężczyźne.

Bardzo podobał mi się w tym przedstawieniu Waclaw Rybczyński jako Ojciec — nieco kostyczny, pod pozorami zrzędnego despoty ukrywający starannie niepo-hamowane zainteresowanie rodziną. Tak autor jak i aktor zbudowali tę postać centralnie, z pełnym przekonaniem o jej wartościach wewnętrznych; można by mieć pretensje li tylko już do autora, że tę centralną postać usuwa z zasięgu naszego odbioru już w I akcie...

Bo właśnie wraz ze śmiercią ojca zaznacza się w sztuce nagły rozbrat z komedią; bo właśnie od tej pory komedia się kończy zdecydowanie i bynajmniej nie ratuje gatunku świetna postać ciotki Cecylii, którą z pogodnym urokiem, acz nieco farsowo zagrała Irena Zuromska. Zwalnia się tempo spektaklu. Dominować zaczyna zaduma, w dialogach dwójka braci pełnych retrospekcji daje się posłyszcie echa Iwaszkiewiczowej „Kosmogonii”, jakieś dalekie reminiscencje millerowskiej „Śmierci komiwojażera”, zjawiają się „puste” miejsca w sztuce, których nie zapelnili ani Muszka, ani znakomicie ćwiczący przysiadki sublokator zmarłego ojca. W tej mojej pretensji do Mariana Łohutki (bo ingerencje teatru niczego tu uratować nie mogą) przypominam li tylko prawa sceny, na której autorowi nie wolno odpoczywać, chyba że w biegu... W drugiej części „Odpoczniesz” — bieg rozwija się epicko i na miarę dramatów tragicznych. Tym smutniej mi o tym pisać, że właśnie w niej zamknął Łohutko wiele mądrej refleksji o człowieku współczesnym, że w niej pomieścił interesującą pointę. Ze sceną jednak jest tak, że wy-obrzyzania wszelki brak umiaru i nie toleruje bezruchu.

Mimo te niedoskonałości budowy „Odpoczniesz w biegu”, jeszcze raz podkreślam, że w całej masie pseudowspółczesnych sztuk, które zaledwie z odpryskami współczesności przesuwały się przez nasze sceny — sztuka Mariana Łohutki — autora bardzo młodego i zarazem świetnie się zapowiadającego jest pozycją wielce interesującą. Tworzona nie z fajerwerków myśli, ale z filozoficznych konstrukcji, ze współczesnych prawd o człowieku. Naczelna zaś prawdą o nim jest jakoś jego działania, czyli — pierwsze przykazanie — nie wegetuj! Spektakl rzeszowski obrócił tę prawdę na własną korzyść — dostaliśmy przeto przedstawienie zrobione z kulturą, przemysłowo i nadsuwające materiał do przemyśleń.

Teatr im. W. Siemaskowej — Marian Łohutko „Odpoczniesz w biegu”. Reżyseria: Stanisław Bieliński. Scenografia: Irena Perkowski. As. reż: Teresa Ujazdowska. Osoby: Ojciec — Waclaw Rybczyński, Juliusz — Franciszek Buratowski, Bonifacy — Antoni Kossowski.

Filip — Bohdan Kiziukiewicz, Łukasz — Stanisław Bieliński, Adam — Józef Jachowicz, Ciotka — Irena Zuromska, Lekarz — Jan Adamski, Myszka — Teresa Ujazdowska, Urzędnik — Henryk Gońda. Prapremiera polska 21 września 1969 roku.



Na zdjęciu: Teresa Ujazdowska w roli Myszki i Józef Jachowicz jako Adam. Fot. D. KWIATKOWSKI

Z RZESZOWSKIEGO DOMU SZTUKI

W Domu Sztuki otwarto wystawę urządzoną staraniem Biura Wystaw Artystycznych i Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch” wszystkich wyróżnionych prac w długoterminowym konkursie na najlepszy rysunek i grafikę mieszcą. Nagrodzone dzieła (29 grafik i 9 rysunków) stanowią pierwszy tak liczny i starannie preselekcjonowany zestaw rzeszowskiej grafiki. Nowe nazwiska, różnorodność prezentowanych technik napawają optymizmem, ale i zmuszają do kilku refleksji.

Zaskakuje mała ilość rysunków w stosunku do grafiki (uprawianie której wymaga przecież skomplikowanego warsztatu i zróżnicowania technik). Poza rysunkami Kuci o oryginalnie opracowanym temacie, zaskakujących trafnością wypowiedzi pozostałe prace poza poprawnością nie wnoszą nic nowego.

Dużo korzystniej na tym nie prezentuje się grafika, demonstrując duże walory warsztatu, szczególnie w obrębie pokazanych mezzotint i akwafort. Spore osiągnięcia mają autorzy eksponowanych linorytów, litografii, czy drzeworytu, lecz nie zawsze wykorzystują adekwatnie dla tych technik możliwości. Zaobserwować można nikiel zainteresowanie grafiką barwną, jedyna próba Korkskiej nie czyni wiosny. Brak na wystawie odważnych eksperymentów na większą skalę, brak technik mieszanych. Stoi tu zapewne na przeszkodzie brak koniecznego zaplecza. Bez pras, papieru, wysokogatunkowych farb, nawet przy obryzmym zaangażowaniu nie sposób myśleć o postawieniu na wysoki poziom grafiki w naszym środowisku. Sądzę należy, że wkrótce nastąpi zmiana na lepsze, a organizowana Pracownia Grafiki Artystycznej przy ZPAP trudności te przezwycięży.

Pomijając tych garść krytycznych uwag na marginesie tej w sumie udanej wystawy, ze społecznego punktu widzenia wysunąć należy propozycję by zestaw ten, obrazujący dorobek naszego środowiska zasilił skromny w dzieła graficzne zbiór przyszłej Rzeszowskiej Galerii Malarstwa, Grafiki i Rzeźby.

(am)

Nasz felieton

NIE DOTYKAĆ — WYSOKIE NAPIĘCIE!

„Siadajcie, Malinowski, co tam u was słychać? Ano, jakoś leci, panie kierowniku...” para podwieczorkowych bohaterów niezliczonych „delegacyjnych” przygód, co tydzień rozmiesza miliony radiosłuchaczy. Kierownik — matolkowaty kombinator i jego wierny, acz zadziorny sate-lita są postaciami przejawskrawionymi, chociaż na pewno nie można uznać, że pochodzą z innej planety. Wręcz przeciwnie: żyją sobie w konkretnym kraju, wtopieni w radiwiślanski pejzaż, czasem tylko nekani kontrolami PIH-u, a niemal nigdy — tak zważmi w przyszłości „wyrzutami sumienia”. Pozostawmy jednak na uboczu merytoryczną stronę ich działalności i zajmijmy się pewną subtelnością językową, podkreśloną w przytoczonym na wstępie cytacie, a krzewiącą się bujnie we wszystkich niemalże instytucjach, przedsiębiorstwach i zakładach pracy. Otóż tak się w naszym społeczeństwie przyjęło, że z funkcją dyrektora, prezesa czy kierownika związany jest dożywotnio i nieodwołalnie tytuł „pan” (oczywiście wraz z wyszczególnieniem piastowanego stanowiska), natomiast do swoich podwładnych wyżej wzmiankowani zwracają się najczęściej przez „wy, Kowalski”, zaś w przypływie humanitarnych uczuć „kolegują” ich. O „panach” nie ma tu mowy; odeszli wraz z sanacją.

Problem, rzec by można, marginalny. Wydaje się jednak, że stanowi specyficzny przedsmak zjawiska jeszcze nie powszechnego, lecz już występującego szczególnie ostro w miastach naszego województwa; zjawiska, które od pewnego czasu niepokoi nie tylko socjologów. Mam

na myśli tworzenie się swego rodzaju „kast” ludzi dobrze sytuowanych (bądź to ze względu na zajmowane stanowisko, bądź też dzięki życiowemu sprytowi), których dewizą stało się korzystanie bez ograniczeń z wszelkich możliwych przywilejów i traktowanie z „należytą wyższością” całej reszty społeczeństwa. Postawa ta przejawia się w różnych dziedzinach naszego codziennego życia, obserwujemy ją w poczekalniach lekarskich przychodni, w sklepach, środkach miejskiej komunikacji, etc., etc.

Oto sklep mięsny z długą kolejką czekających, przeważnie kobiet. Do lady podchodzi elegancki pan w średnim wieku i bez zenady dysponuje: „pani mi poda ten kawałek kielbasy”. Na uwagę jednego z „kolejko-wiczów” odpowiada, pełen zdziwionego oburzenia: „no wie pan, ja jestem lekarzem”. Widocznie sam fakt przynależności do określonej grupy zawodowej predysponuje go — we własnym mniemaniu — do korzystania z przywilejów, niedostępnych „parweniuzom”. Zresztą ci ostatni rzadko protestują; znają pana doktora, lecz się u niego, po co ryzykować? Poza tym kto by się odważył uczyć kultury człowieka inteligentnego.

Drugi obrazek — poczekalnia w przychodni lekarskiej, przed drzwiami wybitnego specjalisty. Pan doktor jak zwykle się spóźnia, bo ma przecież prywatną praktykę, wszyscy to rozumieją. Przychodzi wreszcie, prosi pierwszego z kolejki, a potem pana, który właśnie przed chwilą się zjawił. Zza drzwi dobiega tylko: „już lepiej, panie dyrektorze?”. Dla reszty pacjen-

tów czasu nie starcza, nawet dla przyjezdnych, którzy przed zamkniętymi drzwiami spędziły pół dnia: „przyjeżdż matko jutro, co ci poradzę?” i pana doktora już nie ma. Jest przeciążony pracą, no i te społeczne obowiązki... A „matka” to nie dyrektor; może przyjechać po raz drugi, albo... albo pójść prywatnie. Wybitny specjalista przyjmie ją jak należy i nawet zatytułuje „panią”.

Podobne scenki można mnożyć w nieskończoność: pan mecenasz, dla którego zawsze pod ladą znajdzie się butelka jarzębiaku, pani dyrektorowa, doktorowa, milionerowa — postaci ekshumowane z drobnomieszczanckiego panopticum i egzystujące na zasadzie tabu w rodzaju: „nie dotykać — wysokie napięcie”. Na ich codzienne wyczyny wolimy przyglądać oczy, bo a nuż kiedyś znajdziemy się w potrzebie i wstawiennictwo pani kierownikowej będzie jak znalazł. Ustąpmy jej więc lepszy kawałek schabu dla asekuracji... Poza tym kilku „strasznych mieszczan” socjalizmu nam nie rozbi-je, nie ma więc o co podnosić gwałtu. Oczywiście, można i tak rozmawiać, tylko nie dziwmy się potem, kiedy przedstawiciel „nowego pokolenia” — młokos, rozbijający się po mieście tatusiowym renaultem (ma się te kapitalistyczne „brudasy”), zwraca się do swej girl wskazując robotników tynkujących ścianę: „patrz na to-to, co takie może mieć w głowie?”. Nie dziwmy się, bo w zachowaniu „złotego młodzieńszaka” mamy własny udział. Communis error facit tuis — wspólny błąd tworzy prawo. My sami je tworzymy.

JULIAN RATAJCZAK

Zbigniew Wawszczak

MIASTECZKO W GÓRACH

Miałem wyjątkowego pecha. W Prezydium GRN zastałem tylko referentki. Usłużny magazynier próbował mnie umówić z którymś z wiceprezesów GS, jednakże bezskutecznie. Sam wreszcie zadzwoniłem do POM: niski dziewczęcy głos poinformował mnie, że dyrektor wyjechał akurat bodaj do Sufczyzny, gdzie przedsiębiorstwo buduje szkołę.

Tak więc mój powrót do Birczy, po dwu mniej więcej latach, nie udał się. Przypadek sprawił, że nieomal wszyscy ludzie, którzy opowiedzieć mi mogli o najważniejszych sprawach osady, o tym co zmieniło się tutaj w ostatnich miesiącach, o kłopotach i nadziejach — gdzie wyjechali. Ale przecież miasteczko zastałem w miarę czyste, zielone — więc dlaczego u licha miałbym rezygnować? Nie, nie daję za wygraną, skoro nie ma osób zajmujących pierwsze miejsca na birczańskim świeczniku, postaram się dotrzeć do innych, w taki czy inny sposób zaangażowanych w tutejsze sprawy...

1. Obiad w „Bieszczadzkiej”

Było południe, letnie południe; szosą przecinającą na ukos starannie zagospodarowany rynek miasteczka, tuż obok pomnika poległych w obronie Birczy — żołnierzy, milicjantów, cywilów, przemykały od czasu do czasu samochody z rejestracjami dalekich, zachodnich województw, a nawet z zagranicznymi znakami. Wiozły turystów, wracających tędy z wędrowki po bieszczadzkiej uroczyskach. Szlak ten należy do ruchliwych, co jest zasługą nie tylko dobrej szosy, ale i ważkich atrakcji turystycznych, jakie przypadek ułożył na trasie. Myślę tu o wspaniałym, renesansowym zamku w Krasieczynie, który cierpliwie czeka na swoje dobre lata (miejmy nadzieję, że nadejdą one jak najszybciej i pozwolą temu klejnotowi kresowej architektury odzyskać blask dawnej świetności), myślę wreszcie o cudownie położonym na wzgórzach w dolinie Sanu tysiącletnim Przemyslu, gdzie zjeść można dobrze i dowoli napatrzyć się na śliczne przemyskie dziewczyny, których obecność dodaje malowniczym zaułkom i wąskim, wiekowym uliczkom specjalnego uroku...

Przejeżdżają więc przez Birczę samochody różnych typów, rzadko przecież któryś zatrzymuje się tu na dłużej. Zapewnie ludzie siedzący w wozach nie dostrzegają skromnego szylku miejscowej gospody, a szkoda, gdyż mogliby stosunkowo szybko, bez długiego wyczekiwania zjeść zupełnie smaczny posiłek. Może geosowska gospoda powinna lepiej reklamować swe usługi? W dzień naszego pobytu „Bieszczadzka” świeciła pustkami, nie widziałem tu tym razem licznego zwykłego, męskiego towarzystwa. Zazwyczaj czerwone twarze i podniesione głosy tych panów wskazywały wyraźnie, że nie stronią oni od nieco mocniejszych trunków...

2. — budujemy dom kultury

Tę radosną dla mieszkańców Birczy wiadomość usłyszałem jeszcze w Przemyslu. Sekretarz propagandy KP PZPR, Kazimiera Hodór, powiedziała mi, że wieloletnie zabiegi Birczy uwieńczone zostały powodzeniem. Dzięki staraniom m. in. posła Mieczysława Kaczora, Bircza otrzymała półtora miliona złotych i jeszcze w tym roku przystąpić ma do budowy okazałego domu kultury. Dom ten stanie na wolnej, dotychczas pierzei rynku, oprócz pomieszczeń o charakterze kulturalnym, znajdują się w nim również biura gromadzkiej rady, a z czasem miejskiej rady (jak wiadomo Bircza zabiega o odzyskanie praw miasta). Gmach ten wznoszony będzie przy po-

mocy dotacji państwowej i czynu społecznego. Wolno przypuszczać, że społeczeństwo Birczy, od lat zabiegające o tę niezwykle potrzebną inwestycję, dołoży starań, aby przypadające na

podstawowej trzeba by pomyśleć, stary budynek już kiepski.

Może przemysł terenowy, może spółdzielczość pracy z wojewódzkiego Rzeszowa mogłyby pomóc? Radziłbym ojcom Birczy, aby



Pomnik ku czci poległych w walkach o Birczę.

Fot. M. KOPEC

zobowiązania zrealizowane zostały jak najlepiej.

3. ... przydałby się hotel i basen

Jakkolwiek Bircza zrobiła niemało, zaleczyła wojenne rany, mieszkańcy żyją dziś lepiej, wygodniej, nie czują się już ludźmi drugiej kategorii, to przecież ludzie chcieliby iść jeszcze dalej, chcieliby widzieć Birczę piękniejszą, lepiej zagospodarowaną, dającą zatrudnienie młodzieży...

— Widzi pan — mówi pani Stanisława Bobowska, rodaczka tutejsza, z zawodu agronom — turysta nie zatrzymuje się w Birczy, bo brak tu wody, nie mówiąc już o hotelu. Słyszałam, że jakieś przedsiębiorstwo turystyczne nosi się z zamiarem budowy niewielkiego baru wraz z hotelem. Byłby to pierwszy, ogromnie pożądanym krok na drodze rozwoju turystyki. Przydałby się również basen...

Z tym basenem to dłuższa historia. Jeszcze przed laty zrodził się taki projekt. Zamierzano zbudować basen nad przepływającą obok Birczy rzeczką Stupnicą, pozyskano do tego celu przedsiębiorstwo KPRD, prowadzące akurat wtedy budowę szosy Przemysł — Ustrzyki. Niestety, wszystko rozbiło się o dokumentację... Zanim Prezydium GRN otrzymało zamówione plany, przedsiębiorstwo drogowe przeniosło się dalej i straciło serce do projektu. W Birczy liczone najbardziej na jego sprzęt mechaniczny... I tak od lat w szufladach GRN leży dokumentacja basenu w ślicznej, górskiej dolinie, nad kryształowo czystą wodą Stupnicy... Może ktoś, jakiego przedsiębiorstwo, jednostka wojskowa — zechciałyby podjąć tę zaniechaną sprawę? Nad Stupnicą można by wznieść ośrodek wypoczynkowy z prawdziwego zdarzenia.

Ale nie tylko turystyka. Pani Bobowska wspomniała jeszcze o innym marzeniu Birczy. Tym marzeniem jest jakikolwiek, chociażby najdrobniejszy zakład przemysłowy, spółdzielczy. Młodzież dorastająca tutaj, musi o puszczać miasteczko w poszukiwaniu pracy. Ani POM, ani GS czy leśnictwo nie zatrudni wszystkich chętnych.

— Przecież tutaj, na tej ogromnej przestrzeni od Przemysła do Sanoka nie ma nic — argumentuje pani Bobowska. — Przydałaby nam się jakaś szkoła zawodowa, mamy budować dom nauczyciela, ale i o szkole

nawiązali bliższe kontakty z tymi instytucjami. W rozmaitych stronach województwa powstają drobne zakłady, dlaczegoż by któregoś nie ułożyć w Birczy? Miasteczko leży przy doskonałej szosie, odpadają kłopoty z transportem. A jakikolwiek zakładnik dałby zarobek miejscowej ludności, a tym samym przyczyniłby się do rozwoju tej pięknie położonej wśród gór osady.

4. Wśród młodych w POM-ie...

Słyszałem co nieco o zespole chóralnym z Birczy, działającym przy tamtejszym Państwowym Ośrodku Maszynowym. Zespół ten sprawił miłą niespodziankę na kilku przeglądach, reprezentując teren, stanowiący dotychczas zupełnie białą kartę na mapie działalności artystycznej. Niestety, dowiedziałem się z przykrością, że zespół ten już nie istnieje. Zaprzeszono pracy z powodu poważnej choroby dojeżdżającego z Przemysła dyrygenta, mgr Kopoczka. Tymczasem dyrygent już dawno zdrow, a o zespole głuch...

Sądzę, że warto dołożyć starań i wskrziesić tak dobrze zapowiadający się zespół. Przecież maruje się dotychczasowy wysiłek, przecież zespół ten rozślawiał dobre imię górskiego zakątka, samym swym istnieniem świadczył o ambicjach tamtejszych ludzi...

Rozumiem, mają oni jeszcze inne aspiracje. Leon Demkiewicz kompletuje właśnie instrumenty muzyczne, Antoni Gorant, absolwent przemyskiej, średniej szkoły muzycznej prowadził już próby z rozrywkowym zespołem wokalnno-muzycznym. To dobrze, że powstaje taki zespół, będzie można potańczyć przy własnej muzyce i piosenkach (jeżeli wszystko dobrze pójdzie!), ale przedsięwzięcie to przecież nie zastąpi pięknego chóru!

Młodzież z koła ZMW przy ośrodku maszynowym nie jest głucha na społeczne potrzeby. Wiele godzin swego wolnego czasu poświęcała pracy społecznej, biorąc udział w porządkowaniu otoczenia POM. W samej Birczy również istnieje koło ZMW. Obydwa stanowią już poważną siłę, która mogłaby wystąpić w miasteczku z niejedną inicjatywą, mogłaby pomóc w realizacji rozmaitych przedsięwzięć. Nic jednak o tym nie słyszałem, nie wiem czy gromadzka rada, czy gromadzki komitet PZPR dostarczy w młodych swego sojusznika?

5. Tato łapie... motyle!

Dwukrotnie zachodziłem, po wąskich, charakterystycznych schodkach do mieszkania birczańskiego felczera, Franciszka Ryznera. Niestety, pana Franciszka nie udało mi się poznać, akurat wyjechał gdzieś w teren, aby zbierać porosty... Felczer z Birczy jest zapalonym przyrodnikiem, studiuje zaocznie biologię na UMCS w Lublinie, w miasteczku znane jest jego hobby, zbieranie motyli... Pani Janina Ryznerowa pokazała mi

mocnika, 9-letnią, młodszą córkę Oleńkę, która wraz z ojcem wyprawia się na motyle. Zupełnie nie miałem pojęcia jak się chwytają motyle, ale Oleńka szybko wtajemniczyła mnie w niektóre tajniki tego procederu.

— Motyle dzienne chwytają się za pomocą siatki — perorowała Oleńka.

— A nocne?
— O, to już bardziej skomplikowana sprawa. Tatuś sporządza specjalną przynętę, miesza cukier, miód, piwo. Otrzymaną maścią pokrywa drzewa...

Nie będę już kontynuował opisu „polowania” na motyle, niektóre spośród nich nie wiem czy poprawnie, pospolicie zwykliśmy nazywać ćmami...

Poznałem więc przemilą rodzinę birczańskiego biologa-hobbysty. Jest to zresztą hobby szczególnie pożyteczne, umożliwia poznanie przyrody ojczyzennego kraju, otwiera oczy na jego piękno i bogactwo... Szczegółowo oglądając dziesiątki, setki okazów rozmaitego kształtu, koloru, gatunku, w mieszkaniu pana Ryznera. Doprawdy nie przypuszczałem, że jest tych delikatnych wielobarwnych stworzonek takie mnóstwo...

6. Ojciec i syn — panowie Krotoszyńscy

Już kiedy wracaliśmy do Przemysła, kierowca zwrócił mi uwagę na grupę młodych ludzi, stojących na poboczu szosy.

— Jeden z tych ludzi to technik drogowy, Janusz Krotoszyński. Wraz z ojcem wygrali konkurs na projekt serpentyn na Krępaku.

Po chwili wspinaliśmy się zakolami na górę Krępak. Kiedyś był tu bardzo gwałtowny i niebezpieczny zjazd. Szczęśliwie zlikwidowano go, przebudowując szosę. I oto nieoczekiwanie dowiedziałem się, że walcie pomogli w tym mieszkańcy Birczy, technicy drogowi, Krotoszyńscy. A kiedy pytałem o ciekawych ludzi w miasteczku, wzruszano ramionami...

Nie znam się na tajnikach budownictwa drogowego. Ale widocznie ojciec i syn — technicy z Birczy przedstawili sobie rozwiązanie poprowadzenia szosy z grzbieta góry Krępak (która zasłynęła zresztą ponurą sławą po ostatniej wojnie, tutaj banderowcy urządzali zasadzki na udających się do Birczy ludzi), skoro właśnie ich projekt przyjęto i zrealizowano!

Listy DO PRZYJACIELA

Ponieważ wszyscy kogoś nadsłujemy i życie nam chodzi na podglądaniu idealów — czyś zastanawiał się kiedyś, co to takiego wzorec?

Co lub kto dla Ciebie był Twoim najdoskonalszym; komu chciałeś dorównać, kogo pręcił? Odkąd siebie pamiętam, zawsze był ktoś, kto ponętnie łowił mnie na swój styl bycia, fascynował urodą, pociągał sposobem mówienia, imponował klarownym formułowaniem myśli. Najpierw to jednak była dziewczyna, którą od stóp do głów pokrywała skorupa brudu, z wieńczącym katarą, w straszliwych tachach — ale kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy, jak walita po łbie mojego dręczyciela — paskudne chłopaczysko z końca ulicy, tęgie i silne — czar brudnej dziewczyny poczęł działać. To było coś pośredniego między adoracją a nadsładowaniem: prosiłam ją egoistycznie — wytrzymaj nos, bo mi żółdek wjeżdża do gardła, a w domu zaczęłam prywatnie oszczędzanie mydła, co jak wiesz, nigdy spokoju w rodzinie nie zapewnia. Dziewczyna śmiała

się szydlawie z moich falbanek i równo obciętych paznokci, zrywała te falbanki, kiedy tylko mogła, a mimo to symbioza nasza mnie nauczyła walić gdzie popadnie dręczycieli, pomogła powoli przedzierzgnąć się w chłopaczysko — ją ruszało od czasu do czasu sumienie albo też przywiązanie do mnie, i zaczęła przynosić upchaną w reklamie szmacinę do likwidowania swoich katarów. Dziś brudna dziewczyna jest jedną z najhigieniczniej żyjących kobiet; kiedyś ją spotkali onegdaj, aniś przypuszczał, podziwiając kształtny nos, że był on kiedyś zmorą naszej przyjaźni.

Później zjawilo się kino. Greta Garbo była co prawda już mitem, ale Greer Garson, Michele Morgan, Lollobrigida gięły smukłe ciała i efekt był taki, że cienkonogie, stawałyśmy przed lustrami, przerażone własną chudością, zaniepokojone, czy kiedy się to wszystko wypełni...

Pamiętam, że uczesanie Greer Garson nosiła polowa gimnazjum, wilgotne spojrzenie Michele ćwiczyłyśmy na partne-

Mieczysław Nyczek

FESTIWALOWY COCKTAIL

Pełna wrażeń odejła z tysiącletniego Przemysła w różne strony kraju ponad 350-osobowa grupa uczestników Ogólnopolskiego Festiwalu Amatorskich Zespołów Artystycznych Spółdzielczości Pracy.

— To była niezwykle udana impreza! — tę opinię słyszało się tuż po zakończeniu festiwalu, tę opinię słyszy się jeszcze do dziś. I chyba w stwierdzeniu owym nie ma ani odrobiny przesady.

Wszelkie oczekiwania przeszła przede wszystkim obsada festiwalowego, czterodniowego „maratonu”. W Przemysłu zameldowało się 50 solistek i solistów, 11 zespołów wokalnych i aż 20 instrumentalnych. Niektóre z nich — zdaniem słuchaczy i jurorów — może zbyt szybko pospieszyły się z wejściem na festiwalową estradę, zdecydowana jednak większość wykonawców zaprezentowała wysoki poziom artystyczny i dobre opanowanie muzycznego warsztatu.

Jak należało się spodziewać, na festiwalu królowały „rytmy młodych”. Big-beatowa muza — widać — na dobre zadomowiła się w placówkach k.o. spółdzielczości pracy w całym kraju. Niektórzy mieli nawet za złe spółdzielczym mecenasom, iż ten właśnie modny nurt muzyki rozrywkowej dominuje w repertuarze artystów amatorów. Zastanawiano się, czy nie należałoby zmienić nieco proporcji między uprawianymi przez nich gatunkami i stylami muzyki. Czy supremacja big-beatu to zjawisko pozytywne czy też nie...

Ale przecież na przemyskiej estradzie można było zaobserwować i inne zjawiska. Bo oto gorąco oklaskiwana przez przemyską publiczność laureatka festiwalu — Elżbieta Mędrzyca ze Szczecina śpiewa — nieczym Demarczyk — piękna, zaangażowana „Balladę o dobrym człowieku” — kompozycję swego instruktora Idziego Izydorka, który akompaniuje jej na fortepianie; Bożena Ludzian z Sosnowca — zdobywczyni II miejsca zadziwia wszystkich pięknym głosem i oryginalną interpretacją pieśni Ludomira Różyckiego; szczecińskie „Planetki”, którym jury przyznało III lokatę, prezentują po raz pierwszy przemyskiej publiczności oryginalną wokalizę opartą o anonimowy utwór z XVI wieku — „Dobry taniec polski”; żeński zespół wokalny z Działdowa sięga do zbioru pieśni ludowych Warmii i Mazur; Bogumiła Kaczmarek z Katowic śpiewa natomiast przy akompaniamencie organów pełną ekspresji i dramatyzmu piosenkę „Kriegsgefangen Post”.

Podobnych przykładów można przytoczyć wiele więcej.

Olbrzymią sympatię słuchaczy zdobył sobie beniaminek festiwalu — 12-letni Ryszard Reszka. Uczeń VI klasy szkoły podstawowej w Lublinie mógłby z powodzeniem zasilić „Poznanskie Słowiki”. Lubelski „Robertino” (przed mutacją głosu) zbierał w Przemysłu oklaski przy otwartej kurtynie. I bisował...

Do faworytów publiczności należał też sympatyczny zespół „Sawres” z Jeleniej Góry złożony wyłącznie z młodych Greków występujących w oryginalnych strojach greckiej gwardii królewskiej. Kruczołosi jedeniogórzanie sięgnęli — z pełnym powodzeniem — do repertuaru krakowskich „Skaldów”. Jaka szkoda, że bracia Zielni nie usłyszeli swych „Medytacji wiejskiego listonosza” w wykonaniu chłopców z zespołu „Sawres”. Pewnie pogratulowaliby swym młodszym kolegom prawie bezbłędne wykonanie tej utrzeci piosenki...

Dwa oryginalne protest-singi: „Czy pamiętasz dni wrześnie” i „Groźba wojny” (kompozycje własne) zaprezentował ciekawy zespół beatowy „Gryfony” z Siedlec. Własne utwory przedstawiły też „Monsuny” ze Skarżyska-Kamiennej — zespół bazujący głównie na instrumentach dętych.

Entuzjastycznie został przyjęty przez młodych melomanów lubelski zespół „Słowianie” który posiada już na swym koncie m. in. występ w Telewizyjnym Ekranie Młodych i zajęcie I miejsca na Festiwalu Muzyki Młodzieżowej „Wiosna 68” w Tarnowie. Na festiwalu w Przemysłu — „Słowianie” zdobyli II miejsce i... wielką sympatię słuchaczy. Zaczepnawszy ze zbiorów kórnickich anonimową pieśń polską z XIV wieku — „Chwała tobie gospodzinie”, ciekawie ją lubliniacy zaaranżowali, poprawnie zagrali i zaśpiewali, podbijając swych przemyskich rówieśników...

A jak na tym tle wypadli reprezentanci Rzeszowszczyzny...

W bardzo silnej festiwalowej konkurencji nasi artyści amatorzy nie odgrywali bynajmniej roli „kopciuszka”.

Popularna przemyska piosenkarka — Aleksandra Pasternak zdobyła wywaleczyć jedną z trzech najwyższych premii w 50-osobowej grupie solistów. Jury pod przewodnictwem Tadeusza Hejdy wyróżniło ponadto Mariolę Gajerską z Przeworska.

W kategorii zespołów wokalnych „srebrny medal” przypadł w udziale przemyskim „Mokowian-

kom”, VI miejsce — kwartetowi męskiemu z Rymanowa i IX lokata tercetowi z Leżajska.

W grupie najlepszych zespołów instrumentalnych znaleźli się „Purytanie” z Korczyny (V miejsce) i „A 2 — JW” z Przeworska (VI miejsce).

Na wysoką ocenę zasłużył też rzeszowsko-przemyski sztab organizatorów festiwalu na czele z niezmordowanym Aleksandrem Majkiewiczem z rzeszowskiego WZSP.

Festiwalowy cocktail bardzo smakował przemyskiej publiczności. Chętnie podelektowałyby się z nim znów za rok, wznosząc toast za pomysłowość spółdzielców, którzy uczynili tysięczni gród nad Sanem „stolicą” swej muzyki i piosenki.



Przemyskie „Mokowianki” na festiwalowej estradzie.

Plastycy a przemysł

Ktoś nazwał ich kiedyś „czarodziejami codzienności” — ludźmi, których zasługa jest, iż mamy coraz ładniejsze wzory tkanin, modele ubrań, aparatów radiowych i telewizyjnych, że częściej zwykli uchwyt do mebla lub żelazka jest niemal, małym dziełem sztuki. Chodzi oczywiście o sporą i coraz liczniejszą w przyszłości (na 7 tys. uczniów i słuchaczy liceów i wyższych uczelni plastycznych nie mały odsetek stanowią projektanci form przemysłowych) grupę plastyków współdziałających z przemysłem. Czy są oni właściwie wykorzystywani? Czy to, co robią jest zawsze na granicy ich faktycznych możliwości? —

Oto pytania, na które odpowiadają dziś w błyskawicznej ankiecie PAP przedstawiciele uczelni artystycznych i przemysłu.

Trzy nowe „kieszonkowce”

W sierpniu br. nasz rynek księgarski otrzyma dalsze trzy wydania kieszonkowe, których produkcja dobiega końca w łódzkiej drukarni dziełowej. Będą to: „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza, „Gdy słońce było bogiem” Zenona Kosidowskiego oraz „Ostatni Mohikanin” Jamesa Fenimore Coopera. Wszystkie te edycje ukazały się w nakładach po 100 tys. egzemplarzy.

Jak wykazuje praktyka — niezależnie od atrakcyjności kieszonkowców, wynikającej i z formatu, i z ceny (9 zł za egzemplarz) — dużą rolę w upowszechnieniu tego typu wydań książkowych spełnia ostatnio sieć „Ruch”. Kioski tego przedsiębiorstwa w całym kraju są regularnie zaopatrywane w popularne nowości wydawnicze, wśród których wydania kieszonkowe cieszą się szczególnym powodzeniem.

Sindbad żeglarz w serialu telewizyjnym

„Przygody Sindbada żeglarza” — to tytuł realizowanego w studium małych form filmowych „Semafor” w Łodzi nowego serialu telewizyjnego, którego reżyserem jest Katarzyna Latała. Jest to telewizyjny film kombinowany, łączy bowiem w technice wycinanki z tkaninami. Z ośmiu odcinków, jakie liczyć będzie całość „Przygód” zakończono już dwa.

Scenariusz „Przygód” powstał na tle utworu Bolesława Leśmiana pod tym samym tytułem. Pomysł zaadaptowania do ekranu historii i anegdot „Tysiąc i jedna noc”. Opis perypetii Sindbada z „Tysiąca i jednej nocy” powstał prawdopodobnie na przełomie IX i X wieku, a zawarte w nim błędy geograficzne są dowodem tego, iż opowieść o nim nie autentyczny żeglarz, lecz ktoś korzystający z na wpół zmyślonych relacji innych osób.

zach ze szkolnych zabaw; z Lollobrygidą właściwie był zawsze kłopot — była ponad miarę, i nawet Dior nie byłby w mocy płaskie deski przeobrazić w najpiękniej ułożoną kobietę świata.

Kiedy minęła mania kina — przyszła literatura i nie minęła nigdy! Przyznasz, że często zastanawialiśmy się oboje, czy Wokulski czy Ochocki, czy Julian Sorel, czy Petroniusz i przynasz, że kobiet jakoś nie brało się pod uwagę. Właściwie nigdy nie dostrzegaliśmy panny Łękiej czy Kazi Wąsowskiej, która dopiero teraz wydaje mi się najbardziej uroczy kobietą świata literackiego. Grzebałiśmy w tych bohaterach, dopasowując z Wokulskiego wierność, z Sorela urodę, ludzi dzikiego zachodu dorzucając z odwagą, Antoniego Thibault z miłością i... z Jurkiem, któremu wąż się dopiero sypać zaczynał siliśmy pod rękę za miasto. Ani biedak wiedział, że w tym zgodnym marszu przykładało się go do wzorca superidealnego, a na drugi dzień nie pasowali doń już wspólnie z Andrzejem, Mirkiem i jeszcze paroma, którzy co prawda przeczytali „Lalkę” wraz z „Czerwonym i czarnym”, ale orzekli, że przeczytali dwie piły, że Wokulski mieczak, a Sorel dziwośląg, więc zamiast się upodobać, szli kopać piłę na szkolne boisko. Cóż tedy człowiekowi zostawało? Wyszukiwał w Jurku podobieństwo na siłę, zamykał oczy, gorzko dumając nad przyziemnością partnera, od czasu do czasu mylił go z Julianem...

Przyznasz, że zabawnie tak powspominać. Czy jednak równie zabawnie byłoby, gdyby człowiek zagustował w Tarzanie, kacie Ficku (była taka powieść w tysiącach zeszytów, która nazywała się „Krwawa pani na Czachicach”)? Gdyby, czytając krew w żyłach mrozące stronicie, stworzył bohatera na obraz i podobieństwo zwierząt? Gdyby zasmakował w anomaliiach i tandecie? A przecież gdzieś tam, dla jakiejś cząstki młodzieży właśnie takie wzorce się produkują. Na ulicach Kopenhagi stoja sobie kioski-okraglaki obelione napaścią, od której dech zapiera normalnemu człowiekowi. Zrobiłam przed takim kioskiem chyba najbardziej ponure zdjęcie w życiu: mały chłopiec obchodził go dookoła, a kiedy wysunął się przodem do mnie, ziewnął. Może się mylić, może akurat takie „stawianie” sprawy wyjdzie mu na dobre, stanowiąc rodzaj hartu, szczerpionki, ale natężenie ryzyka zdaje się być także kolosalne.

Powiadają, że tajemnice podniecają. Naturalnie, ale tylko wtedy, gdy odpowiednia atmosfera dąca do uchylania ich rąbków. Pewne stany emocjonalne pozostają dla nas do śmierci tajemnicą: iluż ludzi zamknęło oczy na zawsze, nie zaznawszy leku przed mordercą, rozkoszy macierzyństwa, uczuć przyjaźni? Czy akurat niewiedza ta musiała podniecać? Szczerze wątpię.

Patrzmy ze śmiechem na kostiumy plażowe naszych praba-

tek; śmiejąc się, często jednak dostrzegamy w obcisłych trykotach, kryjących nogę do pół tydki więcej seksu aniżeli w bikini, sprzedających od zaraz wszystkie tajemnice właściciela. Decyduje znowu atmosfera: poza, uroda, obfitość kształtów. Są dziewczyny chodzące w spodniach i sprawiające wrażenie chłopaków — są i takie, przy których idąc, myślisz o słodkim życiu. A więc tajemnicę rodzi indywidualność. Pewien styl. Wzorec.

Jęczący głupek doszedł do wniosku, że nie w nim z oryginalności — więc robi tę oryginalność na siłę: nie strzyże ponurego łba, obwiesza się jak zagubiony cielał na łańcuchach, dopina żaboty, które zakrywają brudne paznoty i hażje w lud jako wzorec. Psychoza tłumy sprzyja wariatom; ba, powiadają, że wśród wariatów i mądry zgłupieć może. Stąd pewnie te tłumy nie domytle i nie dostrzyżone roją się w naszych spokojnych osiedlach. No bo i jakże mają wytrzymać nerwy nastolatka ów święty szal podsuwania wzorców publicznie? Dlaczego nie skopiować czegoś, co na estradzie, w telewizji, stanowi zapewne krzyk wykwintu? Przecież publiczną produkcję ktoś zaakceptował? Ktoś sżyje seriami spódnice, które dla naszych matek stanowiłyby zaledwie baskinkę do spódnicy; ktoś wymyśla te wszystkie warianty rzekomo szkolnych marynarek w paski, ciapki i łączki?

Piosenka zrobiła karierę — mit człowieka z estrady dawno przesłonił poczylnych Wokulskich i Sorelów. Liczy się awangarda zewnętrzności, stroju, włosów, łańcucha. Ale przecież dalej wzorem litarackim są ci sami; w każdym razie w myśleniu żadnych przewrotów nie widać. Pogrubiały podręczniki do chemii i fizyki, a Wokulski jak był, tak jest, i analizę „Kordiana” przeprowadzić trzeba. Gdzieś tam pojawi się w literaturze buszujący w zbożu, gdzieś współczesny poszukiwacz traconego czasu zagra literackim dzokerem; w sumie — mozolnie widzi się współczesność głęboka, inna od XIX-wiecznej, ale zagluszana dźwiękiem gitary i przyslaniana pastuszym włosom.

Okulary Zbyszka Cybulskiego zrobiły kiedyś karierę. Strach pomyśleć, mój drogi, co by zrobiło karierę, gdybyśmy tę awangardę stroju wnieśli do filmu! Kiedy widzę w jednym z najpopularniejszych tygodników filmowych zdjęcie Lollobrygidy w sukni-siatce na ryby, kiedy „Cinemonde'u” — przed laty zupełnie statecznego tygodnika filmowego — nie wypada trzymać w domu przy mężu i dzieciach, kiedy wpada mi w ręce satyryczny numer gazety naszych południowych sąsiadów, gdzie satyra bywają obsesje erotyczne, a w Budapeszcie oferują mi w charakterze suweniru kalejdoskop z aktami i obrazki są tak świetnie technicznie, że tylko poglaskać — to momentalnie wygląd naszych nastolatków za-

czyna zdawać mi się dobrodusznym wygulaniem, odpryskiem zaledwie panującej mody na kult ekscentryzmu i ciała.

Wzorce jak wiesz, mają to do siebie, że penetrują teren, że narzucają się, że lansowane — muszą być przyjęte. Poza tym idą w parze z zainteresowaniami. Nie wyobrażam sobie i Tobie pewnie też to trudno przyjdzie, by ktoś zafascynowany Wokulskim włożył marynarkę w łączkę i stąpił na 10-centymetrowym obcasie o pościnych fletkach. Być może, wiele matek sądzi, że lepsze to od panny Łękiej. Niestety, uczucia z wyborem niewiele mają wspólnego i każdy raczej przejść musi jakąś tam jedną nieudaną miłość; natomiast małpi wygląd to wyłącznie sprawa wyboru.

Napisałam Ci to wszystko tylko dlatego, że boję się trochę o siebie: przed paru dniami przygrywał na estradzie pewien zespół młodzieżowy i w środku tego zespołu pomieścił się człowiek-lew; głowa odsłoniła mu do taktu, a włos, skłębiony, szumiał jak zagajnik. Ów młody człowiek obsesyjnie zaczął nawiedzać mnie w snach: szumił mi włosy, rosły w oczach, potężniejsza głowa zamieniała się w splątany busz, a z tego buszu tylko ślepa gorejąca... Powiadają, że likwiduje się zmyły, raz je przetrzepawszy w dziennym świetle — przeto zechciej mi wybaczyc ten obrządek sprzątania własnej, niespokojnej wyobraźni.

KRYSTYNA

Recenzja filmowa

„CZERWONE I ŻŁOTE”

Zapomnieliśmy już, że w kinie można znaleźć chwilę prawdziwego wytchnienia. Od paru lat bowiem ani filmy zagraniczne, ani krajowe nie grzeszą zbyt optymistycznym, a ich bohaterowie nie należą do ludzi szczególnie sympatycznych, z którymi chcielibyśmy obcować dla czystej przyjemności. Tym miłą niespodzianką sprawia nowy polski film pt. „Czerwone i złote” — pogodna, pełna optymizmu opowieść o jesieni ludzkiego życia, przyprawiona subtelnym humorem i prawdziwą poezją.

Film ten jest dziełem Stanisława Lenartowicza — reżysera, który zawsze łączył dobry warsztat z wrażliwością artystyczną i wielką kulturą, ale nie natrafił dotychczas na twórczo scenariuszowe, pozwalające mu w pełni ujawnić te cenne zalety. Dopiero teraz umożliwił mu to scenariusz, którego autorem jest znakomity poeta i dramaturg — Stanisław Grochowiak.

„Czerwone i złote” nie jest żadną rewelacją, nie ma tu nic odkrywczego, żadnych smaczków nowatorskich ani żadnych modnych herezji artystycznych. Ale jest za to wiele ciepła i próbka najczystszej wody humanizmu, którego krytycy nie muszą udowadniać w zawilich dywagacjach, ponieważ każdy go czuje i każdy się nim wzrusza. Właściwie nie ma tu nawet żadnego problemu, jeżeli oczywiście za problem nie będziemy uważać ludzkich marzeń o szczęściu, które stanowią zasadniczy temat filmu „Czerwone i złote”.

Akcja toczy się w małym miasteczku w Wielkopolsce — współcześnie, ale konflikt dramatyczny sięga okresu pierwszej wojny światowej, w czasie której zaginął bez wieści mąż pani Barbary, leciwej dziś już matrony, osoby nieco zgryźliwej, lecz dobrej przecież i ogólnie szanowanej. I oto zjawia się w miasteczku jakiś stary mężczyzna, który podaje się za zaginionego. Ani pani Barbara, ani nikt z dawnych przyjaciół jej męża nie może z całą pewnością powiedzieć, czy nieznanym jest, czy nie jest człowiekiem, za którego się podaje.

Konflikt to nienowy, ale za-inscenizowany w sposób oryginalny, nasycony odpowiednią atmosferą i wzbogacony trafną obserwacją psychologiczną — obyczajową — zaciekawia już od pierwszej sekwencji. Zainteresowanie nie słabnie zresztą do końca filmu, co wynika m. in. stąd, że reżyser od czasu do czasu odwraca uwagę widza od pary głównych bohaterów, by nieco szerzej ukazać ciekawe ogól-

ne tło i kapitalne postacie drugoplanowe.

Precyzyjnie wyreżyserowanych, dowcipnych epizodów jest w tym filmie bez liku. Są to przede wszystkim reakcje różnych ludzi na zmianę stylu życia pani Barbary w związku z pojawieniem się jej domniemanego męża. Wśród małomiasteczkowej społeczności krążą na ten temat fantastyczne plotki, które oczywiście wpływają na postawy poszczególnych mieszkańców wobec pani Barbary i jej partnera. Jednym z najlepszych epizodów jest rozmowa komendanta miejscowego posterunku MO z proboszczem, w której milicjant przybiera niejako postawę duszpasterza, ksiądz zaś zaczyna się zachowywać niczym milicjant-służbista.

Ludzkie marzenia o szczęściu, które były przecież tematem niejednego już filmu, mają zawsze w sobie coś wzruszającego; tym bardziej wzruszają w tym filmie, którego bohaterowie są ludźmi dobrymi i sympatycznymi. U schyłku życia oboje szukają ciepła, które — jak o tym dobrze wiedzą — znaleźć mogą jedynie u boku kogoś bardzo bliskiego, kto przeszedł równie długą drogę. Ale nie chcą tego osiągnąć w sposób wątpliwy etycznie. Całą swą postawą dobrze zasłużyli jednak na ten „happy end”, który im fundują twórcy filmu.

W głównych rolach — aktorski kunszt najwyższej próby demonstrują: Jadwiga Chojnacka i Zdzisław Karczewski. Są to kreacje tak fascynujące, że dla nich samych warto zobaczyć ten film. Ale przecież na wspaniałym aktorstwie nie kończą się bynajmniej walory „Czerwonego i złotego”. Wszystko jest tu pełne wdzięku, sympatyczne, bliskie i proste — w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Cóż z tego, że „Czerwone i złote” nie ukazuje żadnego aktualnego konfliktu, nurtującego współczesnego Polaka, skoro film ma tyle nieklammanego optymizmu i tak przekonująco mówi o urodzie i etyce życia.

CZESŁAW MICHAŁSKI

„Czerwone i złote” — film produkcji polskiej, zrealizowany w roku 1969. Scenariusz — Stanisław Grochowiak. Reżyseria — Stanisław Lenartowicz. Zdjęcia — Czesław Swirta. Muzyka — Wojciech Kilar. Wykonawcy: Jadwiga Chojnacka, Zdzisław Karczewski, Wiesława Niemyska, Jerzy Blok, Aleksander Dzwonkowski, Janusz Kłosiński, Zdzisław Mrożewski, Stanisław Miłski, Zdzisław Maklakiewicz i inni.

DNI ZIEMI KOLBUSZOWSKIEJ

Wrzesień upływa w blaskach jubileuszu i obchodów 25-lecia ziemi rzeszowskiej. Umykają „Dni” fetujące to święto w różnych miastach województwa; imprez jest tak dużo, iż nie lada kłopotem staje się choćby zliczenie ich bez obawy naruszenia chronologicznej kolejności. Tylko jeden, aktualnie bieżący tydzień — mieści w sobie uroczystości aż dwóch miast, dwóch powiatów. Największą wartością „Dni” — obok tej, że prezentują dotychczasowe osiągnięcia mikroregionu — jest to również, że wychodzą naprzeciw społeczeństwu, pobudzają, mobilizują do działania, podsycają żądzę tworzenia, a nie tylko biernego konsumowania kultury. Z całą wyrazistością ujawnia się to w takim mieście jak Kolbuszowa, ani o zasobnym w historię jak Biecz, ani bogatym w walory natury jak Dynów. A jednak tegoroczne „DNI KOLBUSZOWEJ” (21—23 września) — odśloniły wiele możliwości do wykorzystania, wiele rzeczy do pokazania. Sesja popularnonaukowa — w pierwszym dniu była ciekawym wprowadzeniem w sprawy regionu. Referowano i dyskutowano o tej Kolbuszowszczyźnie — w której nęcza wy-

zwała w latach 30-tych strajki i bunt chłopów, o ciężkich czasach, z których pozostało lapidarnie powiedzenie, symbolizujące istniejący wówczas stan rzeczy: „kura trzy razy męczyć się musiała na pudełko zapalek”. Mówiło się o reformie rolnej, o kształtowaniu się władz administracyjnych — aż do dzisiejszych osiągnięć i perspektyw na przyszłość. Pierwszy zakład przemysłowy (Elementów Prefabrykowanych „Kolbet”) powstał w Kolbuszowej w 25-lecie PRL! W dalszym ciągu wysiłek władz zmierzających w kierunku budowy nowych zakładów, Fabryki Mebli, Zakładu Remontu Maszyn Budowlanych... I pomyśleć, że nie było nie!

Nie bez lokalnej dumy przyjęli zapewne rodacy referat o Kolbuszowszczyźnie w literaturze, a ściślej w poezji J. B. Ozoga — przecież zionka powiatu!

Miasto żyło świątobliwie. Kolorowe od dekoracji, wesołe od imprez sportowych, koncertów zespołów estradowych. Był też kiermasz książki i wyrobów ludowych, chałupniczych. Społeczne Muzeum Regionalne, przygotowało wystawę sztuki ludowej.

„DNI” — zaledwie trzy. Ale to

duża synteza tego co się zrobiło, co zamierza się robić w przyszłości. Wiele mogłoby na ten temat powiedzieć pracownicy PDK, Wydziału Kultury i członkowie Towarzystwa Opieki nad Przyrodą i Zabytkami im. J. Gosłara. Oni to z ogromnym pietyzmem zbierają wszelkie materiały dotyczące dziejów przeszłych i współczesnych Kolbuszowszczyzny. Płonem ich pracy jest „Biuletyn” — corocznie wydawany z wieloma ambitnymi, ciekawymi, a nade wszystko pozytywnymi pracami, o tematyce szeroko pojętej kultury tego mikroregionu. A jest się czym szczerzyć. Wystarczy wspomnieć choćby to, że na tym zabiedzonym terenie było wiele pilniejszych w pierwszej kolejności potrzeb niż budowanie domów kultury, bibliotek — a jednak życie kulturalne rozkochało się tam z wielkim rozmachem. Hasło „szkoła ośrodkiem kultury” i jego realizacja w terenie — zyskało miano słynnego na Polskę „eksperymentu kolbuszowskiego”. I wydaje się, że o poczynaniach w Kolbuszowej, o formach kulturalnego oddziaływania i aktywizowania społeczeństwa jeszcze nieraz usłyszymy...

I LUBACZOWSKIEJ

W splendorze upływają, jak sądzić można z zapowiedzi programowych — „DNI ZIEMI LUBACZOWSKIEJ”. Organizatorzy mają w tej materii doświadczenie i tradycję, z przedsiębiorczym więc oddechem przygotowują swoje święto, zaciekawiając nim nie tylko województwo, ale kraj cały. „Dni” bowiem zaczęły się odprawianiem z Lubaczowa na „Szlaki Walk Partyzantów” — uczestników IV Ogólnopolskiego Rajdu „Roztocze 69”.

Trzeba było sporo wysiłku i uporu, aby pokazać tę ziemię jako region turystyczny, odślonić przed Polską lubaczowski kraj obraz, urok masowych leśnych, nizin i wyżyn wspaniałego Roztocza. Rzecz się udała — gospodarze umieją szafować możliwo-

ściami, odnaleźć spośród niedostatków innych — wielkie wartości. Podziw bierze — bo przecież tam wieki wywarły swoje piętno; tylko podczas II wojny aż dwukrotnie przesuwający się front w 1939 i 1944 roku niszczył powiat. Mało tego: UPA dopełniły dzieła pożogi.

Z mozołem szło odrodzenie. Długo nie było tu przemysłu, jakie bodźca rozwojowego. Odkrycie gazu ziemnego zwróciło uwagę na Lubaczów: kilka kopalń urozmaiciło dotychczasowy rolniczy pejzaż powiatu, w którym z powodzeniem prosperuje największa ilość w województwie państwowych gospodarstw rolnych.

W ślad za uporem w gospodarzej aktywizacji idzie cały szereg

pomysłów ludzi zakochanych w swoim regionie. Nic dziwnego, że wspomnienie Lubaczowa przywołał na myśl prężnie działające środowisko kulturalne, m. in. Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubaczowskiej, Towarzystwo Przyjaciół UMCS, Muzeum Regionalne PTTK (jedno z dwóch w województwie!) itd. itd. W wieloletnią pracę zaangażowane są wielkie kręgi społeczne — toteż czując „Dni Ziemi Lubaczowskiej” pomysłów nie brakło. Oferują one cały kompleks form i propozycji turystyczno-sportowo-artystyczno-kulturalnych. Aż gęsto od imprez! Od czwartku do niedzieli (25—28 IX) i prezentacja amatorskiej twórczości powiatu, wieczory miłośników ziemi lubaczowskiej, konkursy, zgaszanie zgaszule i zabawy. Piątkowy sejmik kulturalny — obwieścił inaugurację roku kulturalno-owsiatowego. Sobota — dniem młodości; sportowe igry i „Mini Festiwal Roztocze 69”, czyli międzypowiatowy przegląd zespołów młodzieżowych... Nie, zdecydowanie nie da się nawet wymienić wszystkiego w ustalonej kolejności. Wspomnijmy jeszcze, iż czynnych będzie aż 7 wystaw (!) w samym Lubaczowie, nie licząc różnych ciekawych ekspozycji w gromadach i wielu, wielu imprez w całym powiecie...

Ziemia lubaczowska zaprasza.

J. WOŚ

Najbliższe premiery Teatru Współczesnego

W Teatrze Współczesnym przy ul. Mokotowskiej najbliższą premierą będzie „Maria Stuart” Schillera w nowym przekładzie Witolda Wirpsy, reżyserii Erwina Axera, o prawie scenograficznej Ewy Starowiejskiej. W przedstawieniu wystąpią: Halina Miłkołajska, Zofia Mrozowska, Henryk Borowski, Jan Kreczmar, Józef Nalberczak, Czesław Wollejko i Edmund Fidler. Premiera przewidziana jest w październiku. Następną pozycją repertuarową na tej scenie będzie sztuka Dürrenmatta „Play Strindberg” (osnuta na „Tańcu śmierci” szwedzkiego dramaturga), w reżyserii Andrzeja Wajdy. Z kolei wejdzie na afisz „Toast” Ernesta Brylla.

Na scenie Teatru Współczesnego przy ul. Czackiego pierwszą pozycją nowego sezonu będzie prapremiera psychologiczno-obyczajowej sztuki Aleksandra Scibora - Ryłskiego „Rodeo” w reżyserii Tadeusza Łomnickiego, zarazem odtwórcą jednej z głównych ról z Martą Lipińską i Andrzejem Ławickim. Zobaczymy następnie ciekawą z dużym powodzeniem we Francji komedię

Jean Paula Cariera „Notatnik”, w dwuosobowej obsadzie.

Warto nadmienić, iż zespół Teatru Współczesnego powiększył się w br. o Zdzisława Mrożewskiego. Zaangażowani zostali również: Stanisława Celińska (absolwentka PWST) i Jan Englert.



Borys Conrad: KRONIKA RODZINA. Przeł. I. Tarnowska. PIW. s. 136, cena 20 zł. (10 tys.).

Książkę tę napisał starszy z dwóch synów Conrada-Korzeniewskiego. Ukazała się ona równocześnie w Anglii. Borys Conrad jest z zawodu inżynierem. W kronice tej zawarł własne wspomnienia z lat dzieciństwa i młodości, opisał życie w domu rodzinnym i w kręgu znajomych oraz przyjaciół Ojca. Przypomina wspólne podróże, między innymi do Krakowa, wspomina wreszcie pierwszą wojnę światową. Na uwagę zasługują impreze z niedawnych odwiedzin Polski i wycieczki do zapamiętanego z podróży z Ojcem Krakowa. Uzupełniają tę pełną uroku książeczkę nie publikowane dotychczas rodzinne zdjęcia Conrada. Warto przypomnieć, że Borys Conrad wkrótce odwiedzi Polskę.

Włodzisław Steyer: SAMOTNY

PÓLWYSEP. Wyd. Poznańskie. s. 138, cena 18 zł. (10 tys.).

Komandor Włodzisław Steyer był dowódcą Rejonu Umocnionego Hel w roku 1939. Swoje wspomnienia z tego okresu spisał w formie literackiej. Czyta się to w 30 rozdziałach. Wrzesnia jednym z nich. Autor przedmowy — Józef Pertek — zaopatrzył książkę w 30 dokumentalnych zdjęć.

Wiesław Andrzejewski: POLYKACZE OGNI. Wyd. Morskie. s. 220, cena 13 zł. (10 tys.).

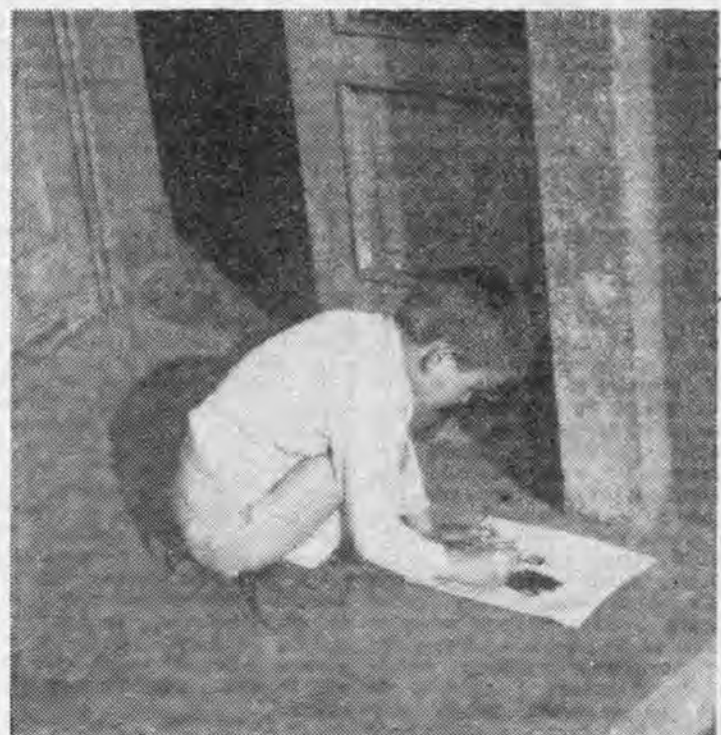
Autor, zawodowy marynarz, ma na swym koncie wiele reportaży i dwie książki. Trzecia również wpływa z doświadczeń życiowych, zawiera jednakże opowiadania, których akcja rozgrywa się na wielu morzach świata. Ciekawe.

Alfons Filar: OPOWIESCI TARZANSKICH KURIERÓW. KIW. s. 328, cena 25 zł. (20 tys.).

Autor urodził się w Lipnicy Górnej pow. Jasło. Był w AL, potem po wyzwoleniu w MO. Uczestniczył w walkach z UPA. Żyje w Zakopanem, zajmuje się historią II wojny światowej. Oto tytuły niektórych rozdziałów: „Jak Stanisław Marusarz wyrwał się śmierci”, „Głowa warta 50 tysięcy”, „Z Edwardem Rydzem-Śmigłym przez Tatry”.

Kawabata Yasunari: KRAINA ŚNIEGU. PIW. s. 156, cena 16 zł. Przeł. W. Kofański. (Wyd. II. 20 tys.).

W cyklu „Proza współczesna” książka japońskiego laureata nagrody Nobla z 1968 roku, tłumaczona na pra-



Mały plastyk.

Fot. M. KOPEC